

Rozdział VII

KRAJOWCY NOWEJ POŁUDNIOWEJ WALII I ZIEMI VAN DIEMENA

W tej części Australazji, o której była mowa na poprzednich stronach, istniała kiedyś, a poniekąd jeszcze i teraz istnieje tubylcza rasa, która podobnie jak i inne żywe istoty, należące do tej strefy i dla niej typowe, żyła długo nieznaną, a teraz gwałtownie wymiera.

Historia tych ludów nie ma kronik ani zabytków. Opiera się ona na tradycji, która podobnie jak język, zwyczaje, moralność, stan społeczny i polityczny tych ludów, uważana była przez Europejczyków za przedmiot nie zasługujący na badanie. Stąd wszelkie wiadomości zawarte w opisach, czy to pierwszych żeglarzy, czy to współczesnych podróżników, dotyczą tego, czym są owe ludy w stosunku do kolonistów, a nie tego, czym są w stosunku do rodzaju ludzkiego.

Początek owych ludów, podobnie jak wielu rzeczy na świecie, okryty jest nieprzeniknioną zasłoną, ci zaś autorzy, którzy próbowali śledzić ich migracje lub wykryć związki, łączące je z którąkolwiek z poznanych i prymitywnych ras ludzkich, nie osiągnęli bardziej zadowalających wyników, niżby je mógł osiągnąć przyrodnik, który pragnąłby wyjaśnić istnienie torbaczy i dziobaka w Australii. A więc nie mogąc znaleźć żadnego innego argumentu co do takich zagadnień, jak pochodzenie ras ludzkich, zadowolili się naszym prostym uznaniem Pisma Świętego.

Na całym obszarze Nowej Południowej Walii i Ziemi van Diemena zewnętrzna organizacja tubylców wykazuje cechy różnych szczepów. To zaś w połączeniu z takimi różnicami, jak typu klimatu i warunków życia, musi wyciskać piętno na charakterze ludzi.

Otóż w Nowej Południowej Walii, gdzie gorąco ułatwia perspirację i sprawia, że kąpiel jest przyjemnością, włosy tubylców są delikatne i mają połysk, skóra ma jednostajną barwę, jest gładka i przyjemna w dotknięciu. Natomiast na Ziemi van Diemena, gdzie

jest zimno, wilgotno, a temperatura ulega nagłym zmianom, gdzie kąpiel przestaje być przyjemnością, a perspiracja skóry ulega zahamowaniu, skóra tubylców jest złuszczone, podlega skórnym chorobom i zniszczona warunkami pogody, a włosy, najłatwiejszy łup robactwa, są przedmiotem jeszcze bardziej plugawych obyczajów mających zapobiec skutkom zawszawienia*.

Na ogół barwa skóry wszystkich ras tutejszych jest ziemisto-czarna. Wzrost mężczyzn osiąga 4,5 do 5,2 stóp. Mają oni małe głowy, smukły korpus, klatkę piersiową wypukłą i dobrze rozwinięte ręce i nogi o zaokrąglonych i muskularnych kształtach, kolana dość szerokie, łydki małe, stopę płaską, a piętę nieco wystającą do tyłu. Włosy czarne, proste, grube i szorstkie. Niektórzy jednak mają włosy miękkie i faliste, inni natomiast — wełniste, podobnie jak Murzyni afrykańscy. Na brwiach owłosienie jest grube, na brodzie, górnej wardze, na piersiach i w miejscach wstydlivych oraz na czaszce jest ono gęste. W niektórych przypadkach całe ciało pokryte jest rzadkim owłosieniem.

Kąt twarzowy waha się między 75° a 85°, co jest charakterystyczną cechą tej rasy. Twarz wyróżnia się niskim czołem, szerokimi oczami, daleko rozstawionymi i w połowie pokrytymi górną powieką, o gałkach ocznych czysto białych z żółtymi kropkami, tęczówce zawsze ciemnobrązowej, źrenicy dużej, kruczoczarnej. Nos mają szeroki i płaski, przy czym przednie zatoki są szczególnie wybitne, nozdrza duże i szeroko rozstawione, policzki na ogół zapadnięte z wybitnymi kośćmi policzkowymi, usta szerokie z dużymi białymi zębami i grubymi wargami, dolną szczękę niezwykle krótką i silnie wysuniętą do przodu.

Kobiety są niskiego wzrostu, mają krótkie głowy, kobiety dojrzałe mają cechy żeńskie, mianowicie piersi, zamiast półkolistych — gruszkowate, a wnet po wyjściu za mąż obwisłe i wydłużone. Ramiona mają smukłe, dłonie małe, miednicę niezwykle wąską, dolne kończyny drobne, proste i chude, stopę szeroką, płaską i zawsze zwróconą ku środkowi.

Osteologia tej rasy nie wykazała jakichś anatomicznych różnic, które by mogły uchodzić za typowe, chociaż mówiono, że w niektórych czaszkach budowa poszczególnych kości twarzy i właściwej czaszki wykazuje pewne swoiste cechy. Bliższe badania i porównania wykazały zamiast różnic silne analogie do czaszki białego czło-

* Mam tu na myśli smarowanie głowy mieszaniną gliny, czerwonej ochry i rybiego tłuszczu, aby zapobiec mnożeniu się robactwa.

wieka. W niektórych nawet przypadkach trzeba zaznaczyć, że kąt twarzowy białego człowieka bywa bardziej ostry, guzy brwiowe, punkty kostnienia kości czołowej i guzy na kości potylicznej silnie rozwinięte, zaś dolna szczęka szersza, niż w czaszkach tubylców.

A więc pominiwszy małe upośledzenia w kształcie drobnych szczegółów budowy, uznać możemy, że krajowcy Nowej Południowej Walii i Ziemi van Diemena, zbudowani są na ogół harmonijnie i proporcjonalnie. Ich członki, nie tak umięśnione i grube jak u dobrze zbudowanych Afrykańczyków, wykazują tę samą symetrię, dobrze rozwiniętą muskulaturę, dobrze zbudowane stawy oraz zaokrąglenia, które cechują Murzynów. W porównaniu z nimi tubylec australijski jest zręczniejszy w ruchach, a w chodzie wdzięczniejszy. Wykazuje on większą ruchliwość, zręczność i zwinność, gdy biegnie, wspina się, lub poluje na swą zdobycz, a kiedy widzi się go w postawie do uderzenia dzidą lub rzucenia włóczni, jego poza nie pozostawia nic do życzenia pod względem ludzkiego wdzięku. Ale w swym fizycznym wyglądzie nie wykazuje on żadnych cech, które by tę rasę pozwalały zaklasyfikować lub zidentyfikować z jakąkolwiek inną ze znanych rodzin ludzkiego rodzaju.

Mowa tych ludów posiada w budowie słów te same szczęśliwe kombinacje zgłosek, które tworzą wysoce dźwięczny i przyjemny dla ucha język. Ich mowa jednak nie jest czysta; cechuje ją nieco ów „twang”, który słyszy się też we wszystkich językach europejskich przeniesionych do Nowego Świata*.

Znając nieco ten język, skłonny jestem zaliczyć go (to jest język tubylców z Nowej Południowej Walii i Ziemi van Diemena) do tak zwanych języków transpozytywnych. Nie posiadają one rodzajników i zaimeków, przypadek i osobę wyraża się przez różnicę w akcencie. Studium jednak tych języków jest tak mało posunięte, że jakiegokolwiek twierdzenia na temat ich składni muszą być przyjmowane z największą ostrożnością**.

* Należy żałować, że w Nowym Świecie czystość wymowy języka angielskiego, hiszpańskiego i portugalskiego, choć lekceważona także z innych przyczyn, wielce ucierpiała. Otóż przykre cedzenie słów przez nos w wymowie języka angielskiego w Stanach Zjednoczonych, będące stałym tematem pospolitych dowcipów, da się również zauważyć w angielskim języku w Ameryce Południowej, Nowej Holandii, Ziemi van Diemena, a także w Chinach i na Dalekim Wschodzie.

** Z badań odnoszących się do szczepów polinezyjskich na największe uznanie zasługują prace misjonarzy amerykańskich na wyspach Sandwich. Udało się im doprowadzić do wyjaśnienia gramatyki mowy tych wyspiarzy. Patrz „Hawaiian Spectator”.

Słownictwo tego języka, w tym stanie, jak ono dziś jest poznane, jest ubogie. Słownictwo to, a ściślej mówiąc słownik ze względu na angielski sposób pisania słów, jest bardzo dalekie od tego, by dało słuszne pojęcie o dźwiękach i akcentacji.

Okoliczność, że trzech krajowcy, którzy towarzyszyli kapitanowi Flindersowi i kapitanowi P. P. Kingowi w badaniach Nowej Holandii, i ci, którzy towarzyszyli mnie, a pochodzili z różnych szczepów Nowej Południowej Walii, nie mogli pojąć ani słowa z mowy szczepów innych okolic, prowadzi do przekonania, że dialekty, którymi mówią mieszkańcy Nowej Holandii, dalekie są od tego, by posiadały takie podobieństwa, jeszcze w mniejszym zaś stopniu identyczne cechy, na których podstawie można by wnioskować o wspólnym ich pochodzeniu. Ci europejscy podróżnicy lub badacze, którzy dla poparcia teorii o wspólnym pochodzeniu przytaczają kilkadziesiąt słów o analogicznym brzmieniu, budowie i znaczeniu, rzekomo używanych w całej Australii, wyciągają z tego wnioski, obawiam się, że zanadto pospieszne i przedwczesne. Oprócz innych nie do pokonania trudności, które następczą badania tego rodzaju, jedna jest zupełnie wystarczająca, aby udaremnić wszelkie usiłowania zgłębienia przedmiotu, mianowicie nieznaną budowę języka, którego dotyczą owe badania. Przecież dla człowieka, który zna i opanował cztery europejskie języki, od razu jest rzeczą oczywistą, że aby pojąć i zanotować na podstawie dźwięku słowo należące do jednego języka, jak również, by porównać ten dźwięk i akcentację ze słowem należącym do innego języka, trzeba gruntownej znajomości ducha obu języków i ich alfabetów. Tylko wtedy można określić wymowę. Otóż tylko ten, kto zna budowę polskiego języka, może wyrazić dźwięk słowa „szczaw” i pojąć rosyjskie słowo znaczące to samo i mające to samo brzmienie, aby stwierdzić identyczność tych dwóch słów. A znów dla Polaka nie znającego języka angielskiego i hiszpańskiego jest rzeczą niemożliwą zanotować dźwięk „th”, aby znaleźć jego równoważnik w „c” lub „z”, jak wymawia się je w słowie „Andaluz”*.

* W różnych opisach wysp południowych mórz bardzo często spotyka się określenie języków występujących na tych wyspach jednym terminem: „język polinezyjski”. Na podstawie mego doświadczenia mogę twierdzić, że języki na wyspach Markizach nie mają więcej podobieństwa do języków na wyspach Gambier czy na Wyspach Przyjacielskich niż te ostatnie do języków, którymi się mówi na wyspach Sandwich. Przyjmowanie, że na wyspach Archipelagu Malajskiego mówi się językiem malajskim, jest również absurdalne, bo na Jawie, wyspie Lombok (posiadającej 1 000 000 mieszkańców) i Bailly (obecnie Bali — przyp. tłum.) (300 000

Ograniczony stan naszej wiedzy odnośnie do języków Australazji stanowi przeszkodę w badaniach siły, aktywności, skłonności i rozwoju władz umysłowych tubylców tej części świata*. Przypadki dostępne dla obserwacji mogłyby prowadzić do przekonania, że wzmiankowane władze umysłowe, instynktowny zdrowy zmysł łącznie z szybkim postrzeganiem i trwałą pamięcią, czasami w połączeniu z wadami lub przerostem bujnej wyobraźni, wszystko to całkowicie posiada umysłowość tej rasy i wszystko to służy jej jako jedyny przewodnik życiowy.

Charakter religii i ustroju społecznego krajowców Australii jest tak tajemniczy jak duch ich języka. Jeden fakt jest pewny: uznają oni Boga, choć go nigdy nie nazywają w ich ojczystym języku tylko w języku angielskim mówiąc o nim „Wielki Pan”, siebie zaś uważają za jego niewolników. Z tego to zapewne powodu tak się dzieje, że ani dar i przywilej życia, ani zaopatrzenie ich w środki potrzebne do jego utrzymania nie wzbudzają w nich najmniejszego uczucia zobowiązania ani wdzięczności. Uważają oni, że to jest przecież obowiązkiem „Wielkiego Pana” dostarczyć im wszystkiego tego, co wymieniając powyżej uznaliśmy za dary Opatrzności.

Wierzą oni w nieśmiertelność lub życie pozagrobowe, w wiekuiste bytowanie. Wierzą, że miejsce tego bytowania jest w gwiazdach lub innych konstelacjach, które świetnie znają. Oni nie boją się bóstwa, boją się tylko złego ducha, który przeciwstawia się

mieszkańców) mówi się czterema różnymi językami. Do tłumaczenia wszystkich czterech języków zaledwie wystarczyło mi trzech różnych tłumaczy. Poza tymi wyspami wyspy Cyklop, Temos i Wyspy Drzewa Sandałowego (obecnie Sumba — przyp. tłum.) różnią się zasadniczo nie tylko pod względem języka, ale też obyczajów i religii mieszkańców.

* Dotychczas geografia fizyczna opisując człowieka klasyfikuje go według cech, które ujawnia jego zewnętrzna budowa. Filozofowie rozpatrując przeznaczenie człowieka odrzucają tę klasyfikację, patrzą na człowieka jako na członka całej ludzkości. Ale już bliska jest zapewne chwila, kiedy zarówno filozofowie, jak i przyrodnicy przyjmą, iż właściwym kryterium klasyfikacji powinny być przyrodzone i umysłowe zdolności każdej rasy, całkowicie zgodne z miejscowymi warunkami, w których znalazła się dana rasa. Stracono z oczu studium tych cech, które trzeba uważać za przewodnie motywy polityki i moralności każdej rasy. To jest źródłem wszelkich błędów i niepowodzeń odrodzeniowców politycznych i religijnych, którzy pracują w sprzeczności z historią czasów dawnych i nowożytnych, aby sprowadzić wszystkie rasy ludzkości do jedynego, jednolitego standardu obyczajów i instytucji.

dziełom „Wielkiego Pana”, a w następstwie tego całe ich religijne nabożeństwo zwraca się do złego ducha.

Tubylcy wyróżniają trzy różne klasy lub stopnie społeczne. Osiąga się je ze względu na wiek i wierność szczepowi. Ale tylko ostatnia, trzecia klasa, składająca się zwykle z nielicznych starców, dopuszczona jest do szczegółów religijnych tajemnic i posiada tajemną moc kierowania sprawami plemienia. Ceremonie przyjęcia młodzieży do pierwszej klasy oraz przejścia z klasy pierwszej do drugiej osłonięte są przeważnie wielką tajemnicą. Ale największa tajemnica obowiązuje przy inicjacji do klasy trzeciej.

Dwa lub trzy plemiona biorą zwykle udział w zebraniach inicjacyjnych pierwszej i drugiej klasy, ale kiedy zostanie zwołane zebranie inicjacji do klasy trzeciej, schodzą się plemiona z obszaru o zasięgu 70 mil. Ostrzegano mnie przy tej okazji, że bez narażenia życia nie mógłbym podejść do miejsca wiecu bliżej niż na 10 mil.

Można powiedzieć, że ich ustrój socjalny opiera się jak i u cywilizowanych narodów na wrodzonym poczuciu prawa własności. Plemiona australijskie tak silnie przywiązane są do tej własności i do praw z tego wynikających, jak europejskie jednostki polityczne, stosują zupełnie podobne środki dla ochrony, a za pogwałcenie praw szukają odwetu i zemsty w ten sam sposób, jakby to zrobił naród europejski w podobnych okolicznościach. Otóż jeśli na terytorium szczepu przejdzie sąsiedni szczep w czasie polowania, pierwszy domaga się zadośćuczynienia lub odszkodowania za znie wagę. Jeśli spotka się z odmową, rozpoczyna wojnę. A jeśli oba szczepy wykazują równe siły i równą dzielność, kończy się to w wielu przypadkach nienawiścią plemienną przekazywaną przyszłym pokoleniom.

Każde plemię dzieli się na rody, a w każdym rodzie o sprawach wewnętrznych decyduje autorytet starszych. Zwyczaje i obrzędy odprawiane z okazji urodzin, małżeństw, porodu, pogrzebu i zebrań świątecznych nie podlegają temu autorytetowi. Ustalone są one tradycją, a ich ceremonial jest tak ściśle określony, jak u narodów cywilizowanych. Znaczna część przesądnych praktyk związanych z prawami gościnności* jest bardzo podobna do tych, jakie zanotował autor na preriach Ameryki Północnej, u Indian Ameryki Południowej i na niektórych wyspach mórz południowych.

* „Z pogarbionego i porozrywanego grzbietu zobaczyłem leżące u naszych stóp w całej swej okazałości, z dawną upragnioną zwierciadło wody, ocienione zarostami i, jak gdyby murem, otoczone dymiącymi wigwamami obozującego tu

Ta identyczność lub podobieństwo potwierdza, jak się zdaje, że zarówno stadium rozwoju społecznego, które osiągnęli Australijczycy jest takie samo jak wzmiankowanych ludów, jak też, że podobne obyczaje i przesady wypływają z podobnych pobudek, namiętności, skłonności i potrzeb.

Przesądny umysł skrzętnie obserwuje każde nadchodzące lub przemijające wydarzenie i nie mniej skrzętnie usiłuje z terażniejszości przewidywać przyszłość. Tajemnicza wiara w dobry i zły omen łączy terażniejszość Australijczyka z jego przyszłością w nieprzerwany łańcuch obaw, trwóg, nadziei i przewidywań. Ich życie, podobnie jak życie Arabów, obok monotonii bytowania ma elementy wzruszeń o nieskończonej różnorodności, zarówno bolesnych i jak radosnych.

Ich poezja wykazuje tę samą aktywność i bujną wyobraźnię co ich przesady. Jest ona liryczna, dzika i pierwotna. Ale miłość, naj-

szczępu. Granicząca z szaleństwem niecierpliwość, aby ugasić pragnienie, które dokuczało nam już kilka dni, opanowała mnie całkowicie. Powróciły mi siły i energia; ruszyłem prosto ku temu miejscu. «Stój, na miłość boską!» krzyknął mój przewodnik — krajowiec «Stój, albo zginiemy!». Zatrzymany przez niego stanąłem na chwilę. Zmieniwszy kierunek szybko osiągnęliśmy podnóże pagórka i zamiast zbliżyć się do koła wigwamów usadowiliśmy się w odległości około 60 jardów od nich. Minął kwadrans czasu. Już szalona niecierpliwość oraz dolegliwość głodu i pragnienia o mało co nie zerwała hamulców, które dyktował rozum, kiedy z najbliższego wigwamu rzucono ku nam kawałek płonącej żagwi. Wtedy mój przewodnik wstał i stąpając miarowym krokiem podszedł, by ją podjąć. Powróciwszy na miejsce rozniecił ognisko i położył na nim oposa, którego mieliśmy w zapasie. Zajął znów swe miejsce i bawiąc się ogryzaniem łaski to grzebał w ognisku, to rzucał spojrzenia na boki. Minęło dziesięć minut, kiedy stara kobieta przyniosła tykwę wody i postawiła ją w połowie drogi między swym ogniskiem a naszym. Po tykwie przyszła kolej na ryby ułożone na czystym kawałku kory. Mój przewodnik zabierał to wszystko do naszego ogniska podobnie jak płonącą żagiew. Zaspokoił wnet głód i pragnienie, i skrajne zmęczenie poczęło kleić mi oczy, gdy w obozie wstał jakiś stary człowiek i podszedł ku nam. Przewodnik wyszedł naprzeciw niego do połowy drogi i rozpoczęła się rozmowa. Starzec dopytywał o cel mych wędrówek, a przewodnik odpowiadał mu na pytania. Po powrocie starca do obozu usłyszeliśmy przejmujący i ostry głos zwołujący na wiec. Na jakiś czas zapanowała cisza, po czym zamiast spodziewanego zaproszenia do obozu dano nam nakaz, byśmy wrócili, skądśmy przyszli. Nie było odwołania od tej decyzji. Powstaliśmy i powrócili tą samą drogą. O naiwne dziecię natury! Wierni swym obyczajom krajowcy australijscy objawiają swą gościnność w sposób zupełnie inny niż my. Oni naprzód zaspokajają potrzeby wędrowca, a potem dopiero zadają pytania, które w naszej cywilizacji poprzedzają udzielenie gościny i regulują jej zakres, a czasem skłaniają do jej odmowy". (Z rękopisu dziennika autora).

piękniejszy przedmiot i bodziec całej poezji, jest z niej wykluczona. Mistycyzm, a czasem dzielność w boju, lecz najczęściej wyuzdanie i uwielbienie zmysłowych przyjemności jest jej ulubionym tematem. Utworów poetyckich nigdy nie recytuje się, ale się je śpiewa. A gdy raz utwór powstanie, rozchodzi się z zadziwiającą szybkością po wszystkich szczepach, które mówią tym samym językiem.

Wędrowki, polowanie, połów ryb, przygodna wojna, na przemian ze świętowaniem i próżnowaniem w miejscach najlepiej nadających się na wypoczynek, wypełniają czas Australijczyka. Porywy i jad ambicji, chciwość, niezadowolenie lub zniechęcenie życiem, przygnębienie z powodu ucisku lub prześladowania, a więc choroby wynikłe ze zwyrodniałego stanu społeczeństwa, są mu nieznane. Nie stara się też on ani nie troszczy o sztukę, naukę i gospodarkę.

Od tego wszystkiego uwolniły go fizyczne warunki kraju i różnorodne środki do życia, których użył mu łaskawa Opatrzność. Te dary zdrowia i zadowolenia, które mu los zsyła, są sowingą zapłatą za wierne posłuszeństwo prawom natury.

Filozof mało ma sposobności do tak wdzięcznych obserwacji, jak wtedy, gdy odwiedzi Australijczyka i jego współziomków w ich własnych pieleszach, których jeszcze nie dosięgnął najazd białych, i mało jest bardziej uderzających objawów hojnych zarządzeń Stwórcy, niż istnienie tych ludzi. Ich los napiętnowała opinia pewnych białych pod wpływem przywiązania do konwencjonalnych nawyków i ziemskich zbytków i określiła ich jako lud „dziki, podły, nieszczęśliwy i pożałowania godny”. Ale człowiekowi, który otrząsnie się z pęt konwencjonalnego, zaściankowego, a więc ciasnego sposobu myślenia, człowiekowi, który poznaje i bada ludzkość odbywając osobiście podróże i dokonując osobiście obserwacji, wyda się rzeczą oczywistą, że Opatrzność dała nam tyle dróg do osiągnięcia zadowolenia i szczęścia, ile jest na świecie ras rodzaju ludzkiego. A kiedy przypatrzy się on spokojnym, pogodnym, miłym, ale ożywionym twarzom australijskich krajowców, ich tańcom i pieśniami, tym żywiołowym objawom szczęśliwości, znajdzie istotne potwierdzenie dobroci i mądrości Stwórcy, o czym i w inny sposób mógł się przekonać. Okazuje się, że Australijczyk, którego umieścił Stwórca w całkowitej harmonii z całą naturą w danym mu siedlisku i wskazał mu jego przeznaczenie, znajduje zaspokojenie wszystkich swych potrzeb, załatwia swe społeczne sprawy i zapewnia sobie

wszelką szczęśliwość ziemską i zadowolenie z tego, co mu dają jego warunki bytu.

Przybycie Europejczyków zburzyło to szczęście bytowania. Chały tubylców, podobnie jak wigwamy Indian amerykańskich, cofnęły się albo zniknęły przed falą imigracji.

Różne klęski, w szczególności spadek liczby ludności tubylczych ras, a w końcu ich wymarcie, które następowało i zawsze następuje po zetknięciu się z białym, jest faktem tak notorycznym, że smutny przykład krajowców australijskich potwierdza tylko straszliwie zabójczy wpływ, który jedna rasa wywiera na drugą.

Handel niewolnikami, to piętno, które brudna pogoń za zyskiem wycisnęła na europejskiej cywilizacji, jest jedną z największych okropności, jakie wynikały z naszego zetknięcia się z tubylczymi plemionami. W tej sprawie znieważonego człowieczeństwa Anglia dała wzniosłe zadośćuczynienie stając na czele najszlachetniejszej krucjaty walczącej o zniesienie tego nikczemnego procederu. Tylko niezajomość zła, które proceder ten sprowadza, zdolna jest oskarżać chrześcijańską politykę Anglii i przedstawiać ją jako cały szereg podłych i niegodnych intryg, które prowadzić mają jedynie do zrujnowania Brazylii i Antyli, a dalszego wzrostu Indii Wschodnich.

Niech ci, którzy w samej zasadzie niewolnictwa nie widzą nic niegodnego prawodawstwa naszego wieku, zastanowią się nad nędzą jednostek, którą niewolnictwo sprowadza, a uczucia grozy, których muszą doznać, powinny wystarczyć do odrzucenia argumentów fałszywej i wyświechtanej logiki.

Do tych niezliczonych, tak często ukazywanych społeczeństwu obrazów cierpień, wynikłych z handlu niewolnikami, pragnę dodać następujący obraz, którego byłem naocznym świadkiem. Był on umieszczony w moim dzienniku z roku 1836.

Rio de Janeiro, 22 stycznia 1836 r. Wczoraj „Satellite”, kanonierka Jej Królewskiej Mości Królowej Brytyjskiej dowodzona przez kapitana Smarta przywiodła do portu bryg trudniący się handlem niewolnikami, zatrzymany niedaleko od wybrzeży.

Poszedłem dziś popatrzeć na ten niewolniczy statek. Mimo iż byłem całkowicie przygotowany na widok scen, które z każdym dniem stają się coraz rzadsze, przekonałem się, że rzeczywistość znacznie prześcignęła obraz ludzkiego lotrostwa, jaki odmalowała moja wyobraźnia. Skoro tylko spojrzałem za burtę statku, poczułem jak gdyby więzy, które mnie łączą z cywilizacją, zerwały się. Byłbym zapewne cofnął się, gdyby brytyjski konsul, pan Hasketh, idący ze mną po pomocy nie popchnął mnie do przodu.

W brygu o pojemności 150 ton między pokładami o odstępach nie większym niż na 3 stopy ciasno stłoczono 300 niewolników obojga płci. Ścisk był taki, że przestrzeń między nogami jednego człowieka zajmował korpus drugiego. Złani potem, grzęznąc w brudzie oddychali atmosferą własnych oddechów zmieszanych z najgorszym odorem wydaliny. Dziesięć uncji wody, stanowiące ich dzienną rację, podrażniało tylko straszliwe pragnienie, które ich trawiło. Tropikalne słońce prażyło swymi promieniami górny pokład, który przygniatał im głowy. Szalone cierpienia w takim stanie rzeczy doprowadziły do zgonu jednej piątej ich liczby.

Nieszczęsne stworzenia, które przetrwały! Wielki Boże! co za widoki! Mężczyźni, kobiety i dzieci skłębieni razem we wszelkich możliwych pozach... Dziwne konwulsyjne ich odruchy zdradzały pomieszanie uczuć radości, zdziwienia, nadziei, strachu, szacunku, ciekawości i udreki. Ich nagie wynędzniałe ciała, pokryte ranami, opowiadały historię doznanych krzywd i katuszy. Odsłaniały okrucieństwa handlarzy niewolników wymowniej, niżby to mogli zrobić swą mową pokrzywdzeni. Ślady „chicote” (rodzaj knuta) na ich grzbietach rzucające się w oczy zbyt jaskrawo pozwalały rozpoznać narzędzie, którym posługiwał się ten chrześcijanin XIX wieku folgując swej nieobliczalnej pasji. Między tymi ofiarami chciwości i barbarzyństwa Europejczyków, gorszych ludożerców niż ci, których oni zwą ludożercami, znajdowały się brzemienne kobiety. Kilka z nich porodziło dzieci w takich warunkach, między mężczyznami i wśród wszystkich tych udrek i tortur.

Od czasu, kiedy bryg zatrzymano, użyto wszelkich środków, aby zaprowadzić ład i czystość wśród Afrykańczyków. Zastosowano wszelkie zabiegi i sposoby podyktowane ludzkim uczuciem, a mimo to atmosfera na statku przy temperaturze 96° była taka, że nie mogłem wytrzymać dłużej niż piętnaście minut. W czasie mej obecności dwu ludzi tuż przy mnie wydało ostatnie tchnienie, a jedna kobieta, bliska również śmierci, urodziła dziecko... Pióro wypada mi z ręki, kryję twarz ze wstydu i upokorzenia na myśl o nieszczęściach, do których prowadzą zbrodnie mych bliźnich. (Z rękopisu dziennika autora).

Ci, w których oczach zagadnienie upadku i wymierania ludów tubylczych wzbudziło żalobną powagę i zainteresowanie, na jakie ono zasługuje, dociekali, jaki jest charakter tych niewidzialnych, lecz zabójczych wpływów, które jak złowrogą towarzyszą białego człowieka niosą zniszczenie wszędzie tam, dokąd on dotrze. Dociekania te, podobnie jak sąd jednej rasy nad ciałem drugiej, przeważnie kończą się orzeczeniem: „zmarli na widok Boga”. Wprawdzie niektórzy autorzy, ożywieni ideą, że odkrycie bezpośrednich przyczyn znajdujących się w zasięgu ludzkiej mocy może doprowadzić do znalezienia środków zaradczych, jeszcze prowadzą swe chwalebne badania. Wierząc, że przyczyną wymierania ludów tubylczych jest brak ewangelicznego nauczania, ucisk państwa, nadużycia, europejskie choroby, wojny prowadzone przy użyciu broni palnej, znaleźli lekarstwo w próbach chrystianizacji i wprowadzenia cywilizacji. Ale te próby, jak się okazało, zwiększają raczej zło, przeciw któremu są stosowane.

Autor niniejszego dzieła w czasie swych pozaeuropejskich wędrówek przebywał długo pośród różnych ras krajowców. Obserwując tubylców Kanady, Stanów Zjednoczonych, Kalifornii, Meksyku, republik Ameryki Północnej, Markizów, wysp Sandwich, Wysp Towarzystwa, a w końcu krajowców Nowej Zelandii i Australii, dostrzegł inne tendencje, które tu poddaje pod rozwagę czytelnika,

nie jako przesłanki do wyprowadzenia końcowego wniosku, ale jako proste fakty, które powinny skłonić fizjologów do dalszych badań tego interesującego przedmiotu. Badania te należą bardziej do ich dziedziny, niż do dziedziny moralistów i ekonomistów.

Uznaje się powszechnie, że wymieranie tubylców w wymienionych krajach występowało zawsze po ich odkryciu i wciągnięciu w strefę obcych wpływów. Zachodzi następujące pytanie, czy to wymieranie wynika ze wzrostu śmiertelności, czy ze spadku urodzeń. Wywiady przeprowadzone z najstarszymi tubylcami, jak na przykład z tymi, którzy pamiętają pierwszą wojnę amerykańską w Stanach Zjednoczonych, rządy jezuitów w Brazylii, St. Borię w Paranie i w Dolnej Kalifornii, przybycie Cooka i pierwszych żeglarzy na wyspy mórz południowych, do Nowej Zelandii, Nowej Południowej Walii i na Ziemię van Diemena, wykazały, że czas życia mieszkańców nie skrócił się, stopa śmiertelności nie wzrosła, ale osłabła siła zachowania i rozwoju gatunku.

Dalsze badania wykazały, że osłabienia siły rozrodczej nie należy szukać u mężczyzn, przynajmniej wedle tego, co można było zaobserwować, ale pewne dziwne fakty odkryte w toku tych badań zdają się wskazywać na to, że to osłabienie należy przypisać wyłącznie kobietom.

Z tych faktów najbardziej znamienity i najbardziej bezpośrednio związany z zagadnieniem jest rezultat połączenia kobiety tubylczej z europejskim mężczyzną. Do takiego stosunku dochodzi często w tych krajach, czy to ze względu na miejscowe obyczaje i pojmowanie gościnności*, czy skutkiem naturalnego popędu płciowego.

* Xalisco (obecnie zwane Tepic w prowincji Jalisco — przyp. tłum.) (Meksyk) 23 kwietnia 1837 r. Gdybym powiedział, że kraj, który podziwiałem z wysokości Santa Cruz de Tepic jest bez historycznych wspomnień lub tradycji, popełniłbym wielki błąd. W Xalisco znajdują się starożytne indiańskie grobowce, w których odkryto ostatnio wiele zabytków, jak broń, urny i ozdoby kobiece. W miejscowości tej jest również archiwum, a w nim rękopis odnoszący się do podboju prowincji przez Hiszpanów. Przytoczę kilka krótkich wyjątków z tej zadziwiającej kroniki spisanej w roku 1642 przez dyplomowanego doktora Don Mattheo de La Mota Padilla, który pisał w tym celu, aby „zaspokoić życzenia królów Hiszpanii, przekazując potomności sławetne czyny, dokonane przez ich okręty, zaspokoić swe własne (tj. doktora) pragnienie, aby całemu światu opisać postępy hiszpańskich zdobyczy i licznych nawróceń na łono Kościoła Świętego w nadziei, że opisanie poszczególnych nawróceń może odtąd służyć jako argument, który zawstydzi heretyków i obali ich wstrętne doktryny”.

Autor postanowił zająć się tylko prowincją Xalisco, ograniczył zatem uwagi na temat Meksyku ściśle do tego, czego wymagał przedmiot i przystąpił do bly-

Ilekróć zdarzy się taki wypadek, kobieta tubylcza traci zdolność poczęcia po ponownym stosunku z mężczyzną swej rasy, lecz zachowuje ją w stosunku z białym.

Setki przykładów tego niezwykłego faktu zanotował autor w swych pamiętnikach, a wszystkie one wskazywały na to, że bezpłodność kobiet jest relatywna i odnosi się do tego, a nie innego mężczyzny. Zdarza się to tak samo i w analogicznych warunkach u Huronów, Seminoli, Czerwonych Indian, Yakesów (Sinaloa), Mendozów, Araukanów, wyspiarzy z wysp mórz południowych, tubylców Nowej Zelandii, Nowej Południowej Walii i Ziemi van Diemena, co nie może być rzeczą przypadku, ale podlega prawom tak ścisłym, chociaż tak tajemniczym, jak inne zagadnienia związane z rozrodnością.

Do tych bezpośrednich choć tajemniczych przyczyn wymierania tubylczej rasy trzeba dodać inne, które choć działają pośrednio, znacznie przewyższają w złych skutkach pierwsze przyczyny, ponieważ ich wpływ, jak się okazuje, rozciąga się dalej, powodując całkowitą bezpłodność kobiet tubylców.

Spośród tych przyczyn najczęstszym przypadkiem jest leucorhoea, powszechne cierpienie grasujące z niezwykłą siłą i mające objawy szczególnie ciężkie. Charakter tej choroby może być często przez wielu obserwatorów uważany za wtórne objawy lub odmianę elephantiasis, a jej pojawienie się u kobiet tubylczych przypada dokładnie na czas przybycia białych kobiet do tych krajów.

Cokolwiek byłoby przyczyną wymierania tubylców w Nowym Świecie, to jedno jest pewne, że ludzkie zabiegi, aby odwrócić te tragiczne skutki, nie dały dotychczas żadnego wyniku i że przywilej kolonizacyjny nadany jednej rasie staje się wyrokiem śmierci dla drugiej. Otóż w Nowej Południowej Walii, odkąd fatalne położenie Australijczyków wywołało powszechne współczucie, ani starania misjonarzy, ani rozporządzenia rządu, ani tym bardziej opieka protektorów nic dobrego nie zdziałały. Próby ucywilizowania i nawrócenia na chrześcijaństwo tubylców całkowicie zawiodły, mimo że po próbach tych spodziewano się zachowania i podniesienia rasy tubylczej. Trzeba to choć z bólem przyznać, że ani pierwsze, ani drugie z tych prób nie były prowadzone z nastawieniem, które by

skotliwego opisu uroczystości wydanej przez królową Xalisco na cześć Fernanda Corteza. Następujący wyjątek dotyczy zwyczajów gościnności: „Ugościwszy Franciszka Corteza w jego pomieszczeniu postanowiła królowa ująć go różnymi podarunkami, a widząc, że w wojsku Hiszpanów nie ma kobiet, przysłała mu ich sto.”

stało w zgodzie z ich założeniami. Cały wschodni obszar kiedyś gęsto zaludniony, jest teraz, można rzec, całkowicie porzucony na łup białych, z wyjątkiem kilku rozproszonych rodzin w jednej części, a kilku zabłąkanych osobników w drugiej. Ci ludzie kiedyś tak dumni i tak zazdrośnie strzegący swej niepodległości i wolności, teraz żyją pogardzani i wyśmiewani nawet przez najniższych z Europejczyków. Poniżeni, pobici, wyklęci, niezdarni i zropanieni, źle ukrywający nienawiść, wzdargę i chęć zemsty, wynędzniali i okryci brudnymi łachmanami, ci tubylczy panowie kraju, wyglądający raczej na widmo przeszłości niż na żyjących ludzi, pędzą swój żalosny byt zbliżając się do jeszcze żałośniejszego przeznaczenia.

Odkąd tubylcy zostali uznani przez prawo, albo raczej przez sofizmat prawny, za nielegalnych posiadaczy tych ziem, których nie uprawiają, uważano Australijczyków za rodzaj ordynarnych intruzów, a w rozprawach z okresu przed objęciem Nowej Holandii w angielskie posiadanie nie poświęcono im więcej słów niż kangurom.

W ciągu kolonizacji jednak, niektórzy humanitarni kolonizatorzy dokonali odkrycia, że australijski tubylec jest czymś więcej niż dzikim stworzeniem i podnieśli głos w jego obronie. Skutek był taki, że społeczeństwo kraju macierzystego przeczucując się ze skrajnej niechęci do niepoahamowanej troskliwości i pieczołowitości zaprosiło tubylców od razu do udziału w dobrodziejstwach chrześcijaństwa i cywilizacji. Ten udział jednak, który tubylcom przypadł, okazał się bardzo podobny do tego, jaki wynika z bulli „Ego Leo”. Chrystianizm, którym ich częstowano, był wyzuty z miłosierdzia, a cywilizacja nie obejmowała uznania praw ich własności. Odrzucili więc oba dary. Cofnęli się w gęstwiny buszu, a zniewoleni głodem napadali na trzody, które wtargnęły na ich myśliwskie tereny, kradli je albo porywali gwałtem. Między pasterzami strzegącymi trzód a krajowcami doszło do śmiertelnych zwad. Publiczne wyrzekanie na te krzywdy dotarło wreszcie do Anglii. Skierowane było ono wyłącznie przeciw tubylcom i rozpatrywano je nie uwzględniając okoliczności, które sprowokowały tubylców do tych odwetowych napadów. Tymczasem nowe stowarzyszenie pod znakiem czystej filantropii rozpoczęło swą działalność od wysłania niedofinansowanych misji. „Protektorzy” wysłani przez towarzystwo, by stanąć po stronie tubylców, skomplikowali tylko sprawę. Ich przybycie między zbuntowanych wówczas, rozdrażnionych i żądnych zemsty tubylców, zamiast ułagodzić, rozzuchwiliło ich do tego stopnia, że w czasie kiedy to piszę (Port Stephen, Nowa Południowa Walia, styczeń 1843 r.) napady rabunkowe otworzyły pole do zabiegów nowopowstałego stowarzyszenia: „Towarzystwa dla obrony białego człowieka”.

Chociaż zdaniem autora tubylcy Nowego Świata, odkąd przybył tu Europejczyk, mają na swych czołach wypisany nieodwołalny wyrok śmierci, autor jest przekonany, że ten koniec tubylców w ogóle, a Australijczyków w szczególności można było opóźnić i uczynić mniej bolesnym, gdyby rząd podjął inicjatywę ich przeorganizowania i zreformowania, zamiast zostawiać to prywatnym towarzystwom. Sprawa pokierowania australijskimi krajowcami nie jest sprawą

czysto religijną ani filantropijną. Jest to również zagadnienie polityczne i wyłącznie rząd powinien je rozstrzygnąć z urzędu.

Trzeba było ogłosić tubylcom, że są podbici, co oni by zrozumieli, a co wyjaśniloby im ich pozycję w stosunku do białych obecnie dość trudną do określenia. Trzeba było zachować i otoczyć opieką związki plemienne, w których były wszelkie elementy potrzebne do regulacji ich wewnętrznych spraw. Trzeba było ogłosić ich jako „niedojrzałych” we wszystkich pozostałych stosunkach z białymi aż do czasu, dopokąd ich charakterystyczne instynkty nie zostałyby okiełznane przez chrystianizm i cywilizację. Trzeba było zadbać częściowo o ich utrzymanie dostarczając im chleba i mięsa wydawanego stale w jakimś określonym dniu tygodnia. Takie postępowanie zaspokoiliby wszelkie wymagania społecznego i fizycznego życia tubylców i otworzyłoby pole do działalności misjonarzy, aby i oni wzięli udział w wielkim dziele. Zapobiegałoby to również rozlewowi krwi, który wywołała li tylko nieroztropna polityka.

Święta nauka, którą misjonarze głosili krajowcom, podkopala fundamenty ich ustroju, wskutek czego nastąpiło rozprężenie społeczne. Głos chrystianizmu, bezinteresownej uduchowionej wiary religijnej, okazał się bezskuteczny z powodu dezorganizacji społeczeństwa. Misjonarze pochłonięci swymi sprawami, skoro ich własne bezpieczeństwo zostało zagrożone, uważali, że są zmuszeni uciec się do siły. W pewnych przypadkach władza łatwo wpadła im w ręce jak na wyspach Sandwich, Przyjacielskich, Towarzystwa i Gambier. W innych spotkali się ze sprzeciwem, jak na Nowej Zelandii, w Nowej Południowej Walii i na Ziemi van Diemena. W obu przypadkach usiłowania ujęcia władzy w swe ręce napiętnowano w Europie jako uzurpację godną dawnych jezuitów. Zarzut ten był zarówno niesłuszny, jak i gorzki. Czy postawiono by go jezuitom, czy współczesnym misjonarzom, słuszniejszy byłby w odniesieniu do tych ludzi w kraju, którzy dzieło odrodzenia krajowców ustawili w niewłaściwy sposób, ponieważ od zarania ludzkiej historii świecka organizacja społeczeństwa wyprzedzała wychowanie religijne i moralne.

W Nowej Południowej Walii pod wpływem prostej konieczności rząd kolonialny poczuł się w końcu zmuszony do wydawania praw dotyczących tubylców w tym kraju. Ale te prawa, spóźnione i zawile, jeszcze bardziej zdeorganizowały dawne więzy społeczne, które regulowały postępowanie krajowców. Ostatni akt uznający ich za naturalizowanych poddanych brytyjskich w rzeczywistości poddał ich tylko legalnie angielskiemu ustawodawstwu karnemu i był jeszcze jedną anomalią, dodaną do innych ustaw dotyczących tubylców. Naturalizacja ta wyłączała ich od zasiadania w sądzie lub stawania za świadka i wprowadziła jak najbardziej zawilą formę sądowej procedury. Wszystko to razem wzięte uczyniło z australijskich krajowców nieokreśloną kastę. Według ich własnego określenia nie są „ani czarnymi, ani białymi” (Z rękopisu dziennika autora).

Na Ziemi van Diemena dramat wyniszczenia krajowców miał inny przebieg. W czasie kolonizowania tych obszarów dalej wysunięte, czyli wewnętrzne pozycje w kraju zajmowały wyrzutki społeczne. Ludzie ci przyzwyczajeni do lekceważenia wszelkich praw, które ich brutalna siła mogła złamać, najechali tereny łowieckie

tubylców, zabrali im ich kobiety i zaczęli stosować straszliwy system napadów i gwałtów, co wywołało ogólne powstanie zarówno białych, jak i czarnych, a zakończyło się pojmaniem ostatnich wichrzycieli w roku 1835 i wywiezieniem ich na Wyspę Flindersa w Cieśninie Bassa. Rząd musiał zastosować ten surowy wymiar sprawiedliwości, krwawy, ale konieczny, aby położyć kres ustawicznemu mordom, które zaczęły zagrażać cywilizacji kraju.

W czasie deportacji w roku 1835 liczba krajowców wynosiła dwieście dziesięć osób. Kiedy odwiedziłem ich w 1842 roku, to jest po upływie siedmiu lat, było już tylko pięćdziesiąt cztery osoby. Przyrost wśród nich w czasie ośmiu lat wyniósł zaledwie czterdzieścioro dzieci, gdy tymczasem we wnętrzu Nowej Południowej Walii każda rodzina nie skażona kontaktem z białymi ma ich całą chmarę.

„Buenos Aires w sierpniu 1836 r. Był jeden z tych ślicznych dni sierpnia, o których ktoś raz powiedział, że czuje się wtedy radość życia. Taki dzień wśród pól, w samotności, w gronie przyjaciół przywozł poważne myśli, prowadził do głębokiej kontemplacji i dawał wdzięczne wzruszenia. Myśl ucieka wtedy od spraw świata, zapomina się o tyranii i rewolucjach społecznych. Ale tu w Buenos Aires, tym zbiorowisku ludzkim, gdzie dzikie, krwiożercze wilki wyprawiają nieustanne rzezie, dary natury mają przeraźliwe piętno, a najpiękniejszy dzień oświetla tylko uczynki największych spośród wszystkich barbarzyńców.

Scena, którą mam zamiar opisać, rozegrała się na placu Retiro, który rząd hiszpański przeznaczył na promenady i miejsce rozrywek publicznych, ale Rosas, obecny prezydent republiki, wybrał go na miejsce wykonywania swych krwawych dekretów. Tym razem miano przelewać krew nie współobywateli, ale Indian. W olbrzymich barakach, które stały po jednej stronie placu, umieszczono ofiary dnia. Wyprowadzano tych ludzi po dziesięciu na raz i prowadzono do rogu utworzonego przez mur, który łączył prostokątne baraki. Tu posadzeni w szeregu na drewnianej ławie otrzymywali morderczy strzał. Nie zadawano im jednak natychmiastowej śmierci. Żołnierze, choć strzelali z bliska, celowali źle, ranili, ale nie zabijali. Ich ogień był tylko hasłem dla oprawców, którzy rzucali się na powalone ofiary i dobiwszy je nożami wlekli ich krwawiące ciała do wozu stojącego w odległości dwudziestu kroków od miejsca kaźni.

Śmierć pierwszych dziesięciu była okropną zapowiedzią dla tych, którzy z kolei mieli podzielić los tamtych. Kiedy wyprowadzono pierwsze ofiary, trawa była zielona i świeża, jak dzisiejszy dzień, ławki czyste, a oprawcy nie splamieni krwią. Istotnie pierwszych dziesięciu kroczyło i przyjęło śmierć ze stoicyzmem, wyrażając pogardę dla tyрана, którego wściekłości padali ofiarą. Ale kiedy przyszła kolej na grupę drugą, trzecią, czwartą, piątą, szóstą, siódmą, ósmą, dziewiątą, dziesiątą i jedenastą (rzeź ta pochłonęła sto dziesięć ofiar), kiedy następni widzieli darń, ławy i oprawców kurzących krwią ich braci, kiedy barbarzyńscy oprawcy pokazywali ciała już zmasakrowanych tym, na których przychodziła kolej, Indianie na ten widok musieli doznać wstrząsu.

Miotali się z całą furią wstrząśniętej i wijącej się w konwulsjach natury. Nieliczne słowa, które wykrzykiwali z gwałtowną i wybuchową energią, były zapewne kłótnią zemsty ich nad białym człowiekiem. Zapewne w przystępie szału zapierali się Boga chrześcijańskiego, że nigdy nie był ich Bogiem.

Tak zachowywali się biali w sierpniu 1836 r. względem Indian. Przypatrzmy się teraz, jakie było zachowanie się Indian względem miasta Buenos Aires w 1806 r., gdy wpadło ono w ręce Brytyjczyków. Ponieważ nie znano jeszcze wtedy Anglików, można było wzywać z ambon do ogólnego powstania przeciwko nim. Określono ich jako jawnych nieprzyjaciół kościoła rzymsko-katolickiego i pokoju, wrogów wiary w Boga i Jego wyznawców. Niech poniższy dokument, który znalazłem w archiwum w Buenos Aires da na to odpowiedź:

«SZLACHETNE» POSTĘPOWANIE INDIAN

W czasie nieszczęsnych wypadków, kiedy to miasto (Buenos Aires) wpadło w ręce Anglików, widziano jak dwudziestu siedmiu Indian uciekło zeń, aby powrócić do swych rodaków. Gdy tylko przybyli do obozu, ich rodacy dowiedziawszy się o tragicznych wypadkach wyrazili im współczucie z powodu strat, które ponieśli, i pożałowania godnych konsekwencji, które upadek miasta przyniósł dla uprawianego przez nich handlu. Zarówno ze względu na własne sprawy, jak również pod wpływem przywiązania do nas, ich wojowniczy zapał przechylili się na naszą stronę. Zwołali natychmiast wiec, ustanowili ogólny rozjem między różnymi swymi szczepami i rozjechali się, aby zaprowadzić przyjacielskie stosunki między Ronguelami, Ankarami i Araukanami z jednej strony, a Pampami, Quehuelchucami i Oricami z drugiej. Szczepy te prowadziły ze sobą eksterminacyjną wojnę przez ostatnie trzy lata. Pokój zaprowadzono po to, aby zapominając własnych waśni zebrać siły dla pomszczenia króla Karola IV i dla oswobodzenia miasta od «czerwonych nieprzyjaciół» jak nazywali Anglików.

Ten przyjacielski projekt godny najwyższej pochwały ukoronowany został całkowitym powodzeniem. Zjednoczeni Indianie rozpoczęli pochód i stanąwszy przed nami ofiarowali nam pomoc swych 3000 najwaleczniejszych wojowników oraz 1000 koni wypoczętych i w najlepszym stanie.

Wojownicze to plemię uzbrojone było w tatera (rodzaj hełmu z potrójnej skóry), peto (skórzane tarcze o czternastu warstwach, od których odbijają się kule) oraz lance długie na 18 stóp, wielkie noże, zatrute strzały i metalowe bolasy. Dowodził plemieniem dzielny kacyk Carraficlon ze swymi podkomendnymi kacykami: Teralef, Millanau, Curatipai, Kiatipi, Quidutef, Quintutepi, Coromil, Huachapan, Antenan, Raynam, Anteamea, Turanau, Nahucipan, Okin, Lincon, Harapuentu, Epumur, Baylahuan, Cartumilla, Huachecatamilla, Calfuquir, Calfuanti, Czarnym Kacykiem i Luną wraz z kilku innymi wodzami i oficerami. Plemię ofiarowało nam nadto pomoc 12 000 ludzi, jeśli byśmy tego potrzebowali. Na tę szlachetną propozycję nasz światły magistrat pospiesznie odpowiedział, że głęboko ocenia i uznaje akt przyjaźni, ale w tej chwili nie potrzebuje takiej pomocy i prosi ich, aby powrócili do swych granic i czekali na nowe rozkazy. Równocześnie wynagrodzono tych dzielnych ludzi, których przedtem oczerniano przedstawiając ich jako naszych najgorszych nieprzyjaciół, i rozdzielono hojnie między nich takie podarki, które przypadły

najlepiej im do gustu i były najbardziej przez nich pożądane». Wyjątek z «*Semanaris de Agriculture, Industria y Comercio del Miercoles*, 22 października 1806 r.».

Jakąż później popełnili zbrodnię, że ściągnęli na siebie nienawiść i mściwość białych? Indianie nigdy nie zapisali się w kronikach takimi zbrodniami. Zapisala się nimi natomiast emigracja Hiszpanów do Nowego Świata. Strony historii prawie wszystkich cywilizowanych narodów splamione są żądzą i nienasyconą chciwością. Jedynymi wyjątkami jest historia osadnictwa Williama Penna w Pensylwanii i działalność jezuitów w Ameryce Południowej, jak gdyby dla pokazania kontrastu między tym, co jest najbardziej wzniosłego w ludzkiej naturze, a tym, co jest najbardziej w niej ohydneho.

Gdziekolwiek Europejczyk postawił swą stopę w Nowym Świecie, gdziekolwiek napotkał w swej agresji na opór ze strony krajowców broniących swych praw, zawsze piętnował ich jako dzikich i nieprzejednanych wrogów Chrystusa i cywilizacji. Tu jak wszędzie pierwsze kroki Hiszpanów wryły się boleśnie w pamięć. Wpływ jezuitów był korzystny dla Indian, ale jezuitów wygnano, a Hiszpanie rozpoczęli znowu krwawe łupiestwo.

Emancypacja kolonii nastąpiła wówczas, gdy rolnicza gospodarka wspomagana zagranicznym handlem dawała tak wielkie zyski, że odżyła znów u białych żądza nowych terytoriów. Biali niezadowoleni z rozległych zdobyczy, które zostawiła im w spuściznie Hiszpania, a których ona nigdy nie mogłaby zagospodarować ani zaludnić własną ludnością, posuwają się dalej na południe. Indianie wyparci już znad brzegów La Platy skupili się znów za Rio Colorado, gdzie jeszcze debatują nad tym najazdem. Towarzyszyły mu mordy, porywanie kobiet i dzieci, które trzymano lub sprzedawano w niewolę. Odwet, jaki Indianie często stosują, nie zna granic. Mniej zależni niż ich nieprzyjaciele od zwykłych potrzeb życiowych, zdolni wytrzymać wiele dni bez wody na suszonym mięsie końskim, nieustannie czujni, ciągle są w ruchu. Nigdy nie ryzykują otwartej bitwy, nie dlatego jak to się mawia, żeby im brakowało odwagi, ale dlatego, że ten sposób walki nie odpowiada ich taktyce. Rodzaj konnej partyzantki jest najstosowniejszy na szerokich pustaciach równin. Gdy zbliża się armia nieprzyjacielska, Indianie przepadają ze swego obozowiska z szybkością orta, nagle i niespodziewanie ukazują się na tyłach nieprzyjaciela, przebiegają pampasy we wszystkich kierunkach, odcinają maruderów, czyhają na podróżnych, napadają i rabują farmy, mordują robotników, gwałcą kobiety, a następnie znikają znów z tą samą szybkością, nie dlatego że są fałszywi i podstępni, o co się ich pomawia, ale ponieważ w ten sposób mogą odwdzięczać się pięknym za nadobne. W oczach białego człowieka owe ustawiczne odwety za ustawiczną agresję są zbrodnią Indian nie do przebaczenia. Biali obwiniają Indian jak tylko mogą. Ale sami nie umiając zmusić nieprzyjaciela do przyjęcia otwartej walki uciekają się do wojennych podstępów i nie wahają się użyć nawet najpodlejszej zdrady, aby złapać Indian w swe sidła. W ten sposób w kwietniu tego roku dano jak najbardziej pojednawcze gwarancje stu sześćdziesięciu wodzom indiańskim i zwabiwszy ich w ten sposób do Fort del Souce, na południe od Cordoby, w Rio Quarto (obecnie Rio Cuarto — przyp. tłum.) wymordowano ich tam z zimną krwią. W ten sam sposób owych stu dziesięciu, których wymordowano na placu Retiro, padło ofiarą własnej naiwności i lekkomyślnego zaufania.

Trudno pojąć w wieku cywilizacji, w którym opinia filantropijna i duch prawodawstwa działają ze wszystkich stron, aby znieść lub złagodzić wymiar kary, że jeszcze tu i tam można spotkać człowieka, który jak wilk żądny krwi każe innym potworom wykonywać bez potrzeby morderstwa, a oni podejmują się tego i dokonują tych zbrodni z zimną krwią. Im bardziej zagłębiamy się w historię tej części świata, tym bardziej wstydzimy się spotkawszy Indianina i pragnęlibyśmy w jego oczach uchodzić za czarnego.

Sceny zbrodni i tragedii są tragicznym zagadnieniem, które podróżny spotyka na swej drodze i opisuje w dzienniku. Odległość od Europy nie może zmniejszyć litości i współczucia, którego wymagają ich ofiary od cywilizowanego świata. Winny one znaleźć oddźwięk w sercu każdego prawego człowieka. Nadejście zapewne dzień, kiedy znajdzie się utalentowany pisarz, który z całą siłą i w słusznym gniewie wyda sprawców tych zbrodni i podżegaczy na publiczne potępienie.

Nawet rządy, chociaż późno, zaczynają wyzywać się obojętności w stosunku do tych odległych zbrodni. Anglicy, naród moralny, który pierwszy przystąpił do wzniosłych i szlachetnych idei, stanowiących ozdobę politycznego oblicza naszego stulecia, pokazali nam jaskrawy przykład postępu zasad moralnych w działalności swego rządu. Ten akt, który podyktowała filozofia zasiadająca u stóp tronu i ucieleśniona w osobie lorda Glenelga (Charlesa Granta), zasługuje na to, aby go wypisać złotymi literami, aby ogłosić drukiem i przedrukowywać dla oddania czci humanitaryzmowi i cywilizacji XIX wieku.

W roku 1834 Kafrowie w liczbie 15 000 ludzi napadli na spokojną kolonię Kraju Przyładkowego. Ich najazd odznaczał się najdzikszym barbarzyństwem, a na barki kolonii skutkiem tych strasznych wypadków spadło utrzymanie 8370 nieszczęsnych uchodźców, podczas gdy Kafrowie zrabowali 51 000 sztuk bydła, 2339 koni, 118 195 owiec, spalili 369 domostw i splądrowali 261 zagród.

Prawda, że rząd kolonii wnet i skutecznie odparł Kafrow i ukarał ich zuchwalstwem. W sprawozdaniu złożonym angielskiemu ministrowi władze miejscowe donoszą: «W ciągu prac komisji spisowej stwierdzono, że szczepy Gaika i Lambie straciły w czasie naszych operacji przeciwko nim 4000 żołnierzy, czyli wojowników, w tej liczbie wielu wodzów. Nasze straty w sumie nie doszły na szczęście do liczby 100, a w liczbie tej było tylko dwu oficerów. Oprócz tego, że zdobyto ziemię Kafrow i zawładnięto nią, odebrano im także 60 000 sztuk bydła i prawie wszystkie kozy. Ich domostwa wszędzie zburzono, a ogrody i lany zbóż spustoszone. Wyniszczono przeto Kafrow choć niezupełnie, lecz wystarczająco».

Lord Glenelg, sekretarz stanu dla spraw kolonii, zwrócił się w tej sprawie osobiście do Beniamina d'Urbana, gubernatora Kraju Przyładkowego z następującymi słowami:

«Mam głęboko w pamięci przykre wrażenie, jakie sprawiły na mnie te zdania. W walce między regularnymi wojskami, a hordami barbarzyńców jest zwykłym porządkiem rzeczy, że musi być olbrzymia dysproporcja w stratach po obu stronach. Ale skazać cały kraj na spustoszenie, a całą ludność na głód, jest to pogłębieniem okropności wojny zasługującym na potępienie ze strony ludzi mających poczucie słuszności i sprzecznym z obyczajami cywilizowanych narodów. Nie byłoby przeto rzeczą usprawiedliwioną, gdybym przyjął ten raport nie domagając się od Pana dalszych wyjaśnień. Honor brytyjskiego imienia

wymaga jak najsilniej tego, abyśmy otrzymali i podali do publicznej wiadomości dowody, że istotnie okoliczności wymusiły na poddanych królewskich tak straszliwe czyny niezwyciężonej armii Jego Królewskiej Mości». Nigdy rząd nie okazał większego humanitaryzmu, większej politycznej mądrości z okazji zwycięstwa, które tak łatwo schlebia duchowi próżności, a także mściwości zwycięzców. Opinia publiczna aprobowała odpowiedź lorda Glengela. Zwycięska kolonia uszanowała ją, powstrzymując się od iluminacji i innych barbarzyńskich manifestacji uciechy, urządzanych często z racji nie mniej barbarzyńskich postępów." (Z rękopisu dziennika autora).

Na gruzach różnych planów, prób i usiłowań, aby tubylczą rasę nawrócić na chrześcijaństwo, ucywilizować, uczynić pożyteczną* i zachować, został tylko jeden środek, który można zastosować, godzien szlachetności rządu brytyjskiego, mianowicie wysłuchać ostatniej prośby wywiezionych i głosu niewielu pozostałych przy życiu: „Pozwólcie nam zachować nasz tryb życia i nasze obyczaje, nie zatrzuwajcie nam dni, które nam jeszcze pozostały, zmuszaniem nas do posłuchu, ani nie obwiniajcie nas o niechęć do tej cywilizacji, która nie jest dla nas przeznaczona. Jeśli potraficie być wspaniałomyślni wobec zwyciężonych, odwróćcie od nas głód, skutkiem którego z rozpaczmy zabijamy wasze trzody i strzegących je ludzi. Nasze pola i lasy, które kiedyś dostarczały nam obficie pokarmu roślinnego i zwierzęcego, teraz nic nam nie dają. Tak one, jak i ich plody są waszą własnością. Wam dobrze powodzi się na naszej ojczystej ziemi, a my cierpimy głód”.

* Ci, którzy przypuszczają możliwość aż takiego przeobrażenia się Australijczyków, że proponowali wzięcie ich w służbę białych, nie znają ani ich instynktów, ani obyczajów. Na podstawie tego, co wiemy o obu rasach, można by stwierdzić bez obawy spotkania się ze sprzeciwem, że łatwiej byłoby sprowadzić białych do poziomu czarnych niż wznieść tych ostatnich do idei i zwyczajów białej rasy.